

Ciemność i zapalniczka

*Spotkanie księdza Juliána Carróna
z nauczycielami z Comunione e Liberazione
Mediolan, 18 maja 2008 r.*

Franco Nembrini: Dzień dobry wszystkim. Witajcie na tym drugim spotkaniu z księdzem Juliánem, któremu jeszcze raz dziękujemy za ojcowską troskę, z którą nam towarzyszy.

14 października minionego roku rzuciłeś nam wyzwanie: wychowywanie to komunikowanie siebie, swojego sposobu odnoszenia się do rzeczywistości¹. Wydaje mi się, że mogę ci powiedzieć, że to wyzwanie zostało podjęte przez wielu bardzo zdecydowanie oraz z wielkim zaangażowaniem, także przez wielu tych, którzy dzisiaj nie są tutaj fizycznie obecni, ale którzy uczestniczą w tym geście za pośrednictwem różnych środków przekazu. Przede wszystkim przyjaciele z Kalabrii, Kampanii, Apulii i Sycylii, a następnie ci wszyscy, którzy łączą się z nami na żywo lub będą się łączyć w najbliższym czasie w Argentynie, Belgii, Brazylii, Kamerunie, Kanadzie, Chile, Kolumbii, Korei, Ekwadorze, Etiopii, Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Irlandii, Kazachstanie, Kenii, na Litwie, Malcie, w Meksyku, Nigerii, Holandii, Paragwaju, Peru, Portugalii, Rosji, Słowenii, Hiszpanii, Ugandzie, na Węgrzech, w USA i Wenezueli. Przywitajmy ich wszystkich brawami.

Podczas przygotowań do tego gestu dotarło do nas ponad 250 świadectw i choć ksiądz Carrón prosił, by dzisiejsze poranne spotkanie miało formę assemblei, ośmieliłem się poprosić kilkoro z was o podzielenie się publicznie swoim doświadczeniem i przedstawienie księdzu Juliánowi kwestii, które wydają się najbardziej decydujące. Przedwczoraj powiedziałem mu: „Wiesz, Juliánie, prawdopodobnie pytania są takie same jak w październiku, ponieważ życie rzuca wciąż to samo wyzwanie, i gdybyśmy spotkali się za 10 lat, myślę, że zadawałibyśmy sobie te same pytania. Jednak naprawdę wielkie wrażenie zrobiło na mnie stwierdzenie, że 14 października wyszliśmy od nieufności, od zmęczenia (pamiętajcie, że pierwsze pytanie, jakie mu zadaliśmy, by się z nim zmierzył, brzmiało mniej więcej tak: „Ale kto mi każe dalej wykonywać ten zawód w takich warunkach?”); dzisiaj natomiast te same pytania są stawiane z pozytyw-

¹ Chodzi o spotkanie ks. Juliána Carróna z nauczycielami z Comunione e Liberazione 14 października 2007 r. w Mediolanie. Zob. książeczka „Educare: una comunicazione di sé, cioè del proprio modo di rapportarsi con il reale”, „Tracce – Quaderni”, dodatek do „Tracce – Litterae Communionis”, nr 10, listopad 2007.

nego punktu widzenia, wychodząc od podjętego wyzwania i przedsięwziętej próby. Zaczynamy.

Stefano: Mój tata odszedł w ramiona Ojca, moje dzieci zaczynają dorastać i moje życie zostało otoczone przez silne towarzystwo ludzi, a ja dostrzegam, że korzeniem tego wszystkiego jest „prawdziwa racja”, i o tym chcę wam opowiedzieć.

Październikowe spotkanie z Franco i z księdzem Carrónem dokonało przewrotu w moim życiu; tak jakbym po bardzo długim czasie otworzył na nowo okno, pozwalając, by świeże powietrze napełniło pokój, a ja poczułem się zaproszony do wyjścia na zewnątrz. W obliczu życia czułem się jakby zapędzony w jakiś kąt, bez żadnej perspektywy, a przede wszystkim bez nadziei. Tak, myślę, że to był prawdziwy problem: bez autentycznej nadziei. To spotkanie na nowo postawiło mnie wobec początku: nie organizowanie tego czy tamtego, nie zamartwianie się rezultatem, nawet bilanse dotyczące mojego życia nic już nie znaczyły; pozostał tylko On, dobry Jezus, który wracał, by znów mnie objąć, albo lepiej, znów zacząłem dostrzegać, czuć, pojmować, że On jest obecny.

Pierwsze, co mi się wydarzyło, to rzeczywistość, która ukazała mi się na nowo. Od zbyt długiego czasu rzeczywistość przestała być dla mnie czymś danym, danym faktem, a więc szlakiem wyznaczonym dla mojego życia, pamiętaniem o tym, co przeżyłem oraz ile mi zostało przebaczone. Moja żona, moje dzieci, przyjaciele ze wspólnoty, mój ojciec i moja mama – wszystko to straciło koloryt i smak, byli ze mną, ale ja ich nie widziałem, albo lepiej, nie rozpoznawałem. Co za niespodzianka, gdy znów ich zauważyłem! Jakże wspaniale jest dostrzec nieśmiałe kroki swoich dzieci albo wzruszyć się obliczem swojej żony po 25 latach małżeństwa, albo odczuć miłość do przeznaczenia tej młodzieży tłoczącej się w salach szkoły, w której uczę, i dostrzec, że wszystko to zostało mi dane teraz, że to jest Chrystus, który daje mi się teraz! Niewiarygodne: nie wystarczy, by Chrystus był obecny, ja także jestem potrzebny, potrzebne są moje oczy, moje ręce, mój umysł otwarty na to, co się wydarza, trzeba, bym zachował prostotę w obliczu rzeczywistości.

Szkoła Wspólnoty była dla mnie ważnym towarzyszem w ostatnich czasach. Przypominało to list otrzymany od przyjaciela, który znając mnie, pomógł mi skierować się we właściwą stronę i wytrzymać tę ogromną prowokację, którą było spotkanie z Franco i księdzem Carrónem. Wiara, do której posiadania rościłem sobie prawo, a przez to mówiłem: „Jestem biedakiem, ale mam wiarę”, to właśnie wiara była tym, czego nie miałem.

Poznawać rzeczywistość taką, jaka ona jest, jako daną, jako wyznaczony szlak, jako Jego obecność. Ileż razy, czytając to, o czym piszecie w „Tracce”, stoję wobec nowości waszego człowieczeństwa, które znów patrzy na wszystko, naprawdę wszystko, z genialną prostotą wiary. W ten sposób często zdarza mi się rano zdumiewać, że jestem zwrócony w inną stronę i przejęty (to znaczy cały już zajęty) swoimi myślami. Wcześniej nawet tego nie zauważałem, tymczasem teraz wstaję rano z łóżka i od razu proszę, modłę się, proszę, bym mógł Go rozpoznać w bieżącym dniu. Pomóżcie mi nie zagubić takiej postawy.

Nembrini: Dziękuję, Stefano. Ta odnaleziona postawa „ja”, to otwarcie oczu na odnalezioną rzeczywistość od razu otrzymuje jednak cios w postaci ogromu potrzeby, ogromu cierpienia, wobec którego stajemy. Zaskoczyło mnie, że wiele waszych wypowiedzi zaczynało się od tego, po czym natychmiast stawiane było właśnie to pytanie: „Ja też próbuję, chcę się skonfrontować z rzeczywistością, ale jak wytrzymać uderzenie tego trudu, tego zła, tego cierpienia, które mam w sobie i które jest wokół mnie?”

Poprosiłem naszą przyjaciółkę Lucię z Werony – ażeby już samo jej świadectwo było próbą udzielenia pozytywnej odpowiedzi – by opowiedziała o tym, co wydarzyło się w Weronie w klasie, do której chodził jeden z pięciu chłopaków, którzy zamordowali innego chłopaka z powodu jednego papierosa.

Lucia: Na jednej z ulic w centrum Werony w nocy z 30 kwietnia na 1 maja pięcioro chłopaków w wieku 19-20 lat pobiło śmiertelnie 28-letniego Nicolę Tommasoligo, ponieważ odmówił im papierosa. Fakt ten dotknął bezpośrednio jedną z dziewczyn z GS, Elisę, koleżankę z klasy jednego z napastników. Elisa zadziałała natychmiast, pisząc ulotkę, którą wam teraz przeczytam.

„Wobec nieoczekiwanego wydarzenia, które dotknęło nas tak mocno z bliska, to znaczy kolegi z klasy, który znalazł się w więzieniu, spontanicznie wyłania się pytanie: jak może do tego dojść, do punktu, w którym mała iskra prowadzi do tragedii? To pytanie zadaliśmy sobie wszyscy, studenci i profesorem, przygnieceni głazem, który na nas spadł. Banalnie można powiedzieć, że popełnieniu podobnego czynu winne są skrajne przekonania polityczne albo że była to agresywna osoba. Ale nam to nie wystarcza. Te motywy działania nie odpowiadają prawdziwie na te pytania. W czasie jednej z rozmów w klasie wyłoniła się możliwość, że do podobnej rzeczy doprowadziła tak naprawdę pustka, która jest obecna w każdym z nas, pustka, którą każdy z nas usiłuje wypełnić i której nikt z nas nie potrafi zignorować: potrzeba, by było coś, co nas dopełni,

potrzeba, by to, co robimy, i to, czym jesteśmy, nie poszło na marne, potrzeba bycia traktowanymi na poważnie z całym naszym «ja», zawsze. Raffaele nie jest potworem, szaleńcem albo człowiekiem egzaltowanym, jest chłopakiem, który popełnił bardzo poważny błąd i teraz poniesie tego konsekwencje, ale oprócz tego jest chłopakiem, który odczuwa potrzebę taką samą jak my i jego pytanie jest także naszym: «Dlaczego?». Tak samo Nicola był młodym człowiekiem takim jak my, nie wrogiem, którego trzeba zwalczyć i którego już nie ma, a jego rodzice zadają sobie to samo pytanie: „Dlaczego?”. Jaki jest sens tego zniszczonego życia i pozostałych pięciu istnień, naznaczonych na zawsze? Kto udzieli nam wystarczająco wiarygodnej odpowiedzi, by ocalić nas od otaczającej nas pustki?”.

Elisa zaangażowała się wobec swoich kolegów, nauczycieli, dyrektora, napotykać zarówno na opór, jak i na osoby gotowe uznać w jej postawie postawę ludzką, zdolną stanąć w obliczu tragedii bez cenzurowania czegokolwiek. To sprowokowało innych uczniów z GS i nas, nauczycieli. Za jej pośrednictwem mogliśmy lepiej poznać rzeczywistość, ponieważ mieliśmy przed sobą osobę, która patrzyła na nią w prawdzie, z pragnieniem spotkania wszystkich, by dać świadectwo nowości pośród burzy wyjaśnień, które chciały zdefiniować przypadek.

Chciałam zapytać: jak my, którzy spotkaliśmy nowość dla naszego życia i którzy tak jak inni nauczyciele doznajemy uczucia niepewności i bezsilności wobec ludzkiej tragedii, zagrażającej wciąż coraz bardziej, możemy podtrzymywać nadzieję tego, kto stoi obok nas, uczniów, których mamy w klasie? Od czego zacząć, by potwierdzić, że alternatywą dla nicości jest Chrystus?

Ks. Carrón: Od czego zacząć? Mamy przed oczami to, od czego zacząć, i nie widzimy tego! Od czego zaczęła ta dziewczyna? Musimy patrzeć na to, co wydarza się wobec nas. A co się wydarza? Że dziewczyna, ostatnia, najmniejsza, spojrzała w twarz temu, co się wydarzyło koledze, i przygotowała tę ulotkę, jak słyszeliśmy. Spróbujmy utożsamić się z tą dziewczyną: co pozwoliło jej zacząć? Co było dla niej punktem wyjścia, początkiem, który kazał jej rzucić wyzwanie wszystkiemu i wszystkim, ryzykując publicznie ten osąd? Nie jest to szczególna inteligencja, nie jest to szczególna wiedza, nie jest to szczególna energia – to po prostu zdolność przyłgnięcia do czegoś, co przychodzi wcześniej. Spojrzała na to, co wydarzyło się temu chłopakowi i jej koledze, poprzez to, co było w niej, i to dało jej pewność: pozwoliło jej przezwyciężyć niemoc, którą wszyscy odczuwamy wobec tych spraw. Nie dlatego, że była lepsza, nie dlatego, że miała więcej energii, nie dlatego, że miała większą wiedzę, ale ponieważ była bardziej

lojalna i zachowała większą prostotę w obliczu tego, co zaproponowało jej doświadczenie.

Zadałem sobie pytanie tego ranka: co takiego wydarzyło się nam, kiedy jeszcze raz usłyszeliśmy w piosence: „To nie dla 30 srebrników, ale ze względu na nadzieję, jaką On wzbudził we mnie pewnego dnia”? Czy znów zawrzała nadzieja, którą On w nas wzbudził, czy też nie? Czy może raczej przeważają wszystkie inne myśli, wszystkie inne sprawy, ponieważ my, w obliczu tego, co się wydarza, jesteśmy jak gdyby nieprzenikalni, to znaczy nie pozwalamy się zaskoczyć i pozostajemy we władzy naszych myśli i naszych zdolności (tak że gdy tylko coś się wydarza, widać jak bardzo jestem niczym, niczym wobec tego, co się wydarza)?

To zdumiewające, że Bóg wybiera dziewczynkę, by potwierdzić nam wszystkim metodę, by dać nam do zrozumienia, że nie są nią nasze humory, nasze zmartwienia, nasze myśli, ale prostota „ja” wobec tego, co On czyni. A wówczas nie ma pustki, która by się nie zapełniła, nie ma faktu, choćby nawet przykrego, w naszym życiu, na który nie można byłoby patrzeć, właśnie dzięki tej nadziei, którą On w nas wzbudził, dzięki temu „wcześniej” (temu „wcześniej od każdej innej rzeczy”, temu „wcześniej”, przez które „umiłowałem cię miłością odwieczną i ulitowałem się nad twoją nicością”): jeśli nie pozwolimy Mu wchodzić w nasze „ja” za każdym razem, w każdej chwili, już jesteśmy przegrani.

Franco mówił mi, że czasem wydaje się niemal niepotrzebna cała nasza obecność wobec takiego bólu. Całe szczęście, że Tajemnica nie rozumowała w ten sposób! Całe szczęście, że Tajemnica nie pomyślała, iż nie potrzeba litować się nad naszą nicością, naszym cierpieniem, że nie ma sensu stawać się Człowiekiem! Całe szczęście, ponieważ w przeciwnym razie wszystko byłoby już skończone. I dlatego On nieustannie nas przebudza.

To prawda, że wszystko to przewyższa nasze siły, to prawda, najprawdziwsza prawda. Nie potrzeba tego ukrywać: to prawda, to jest absolutnie przewyższające. Dlatego potrzeba czegoś zupełnie innego niż to, co tkwi w naszych głowach; a my możemy zacząć rozumieć, jeśli codziennie utożsamimy się z naszą potrzebą i zdamy sobie sprawę z tego, co pozwala nam zaczynać od nowa, z tego, jak bardzo potrzebujemy tego pełnego czułości spojrzenia na naszą nicość, by zacząć od nowa. Problem polega na tym, że wydaje nam się to za mało, że bardziej decydujące i ważniejsze wydają nam się wszystkie nasze zmartwienia, nasze myśli, nasze zebrania... Wszystko wydaje nam się mieć większy wpływ, być bardziej rzeczywiste, bardziej decydujące od tego, co uczyniła i wciąż czyni Tajemnica. Jak gdyby On był nieco abstrakcyjny, albo nieco naiwny: stać się Człowiekiem, zrezygnować ze swojego stanowiska Boga, ze swojej władzy... wy-

daje się mieć mały wpływ na dzieje, i dlatego my uważamy, że wszystko inne jest ważniejsze od tego. Po czym pierwsza rzecz, jaka się pojawia, wyprowadza nas z równowagi i nikt nie wie, co dalej robić. Gratulacje! A potem mówimy: „Co my teraz zrobimy?”. Może powinniśmy podążać za tą dziewczynką. Chodzi o to samo, co zrobiła też inna dziewczynka, 14-letnia, która miała na imię Maryja: wobec tego, co wydawało się niemożliwe (dla Niego nie ma rzeczy niemożliwych), całą przejęło to poruszenie, ponieważ Bóg spojrział na nicość swojej służebnicy. To, co w oczach innych wydawałoby się absolutnie niepotrzebne i niemające żadnego wpływu na rzeczywistość, to przyjęcie, to „tak” było najbardziej decydującą rzeczą w dziejach, ale my w to nie wierzymy! Dlatego w obliczu każdego faktu stajemy oszołomieni, zwyciężeni, przegrani. Wystarczy dziewczyna, która potraktuje to na poważnie, i podnosi się wrzawa, którą wywołała w szkole. Powiedzcie mi, co jest bardziej decydujące! Skonfrontujmy się, przynajmniej kilka razy, z rzeczywistością! Tymczasem my wciąż mówimy: „Rodzina, społeczeństwo, otoczenie”... bzdury! Litości, ja to wiem, ja także mówiłem tak moim profesorom, kiedy byłem dyrektorem szkoły: to prawda, że rodzina... to prawda, że społeczeństwo... to prawda, prawda, prawda. Ale czy my mamy coś do zaferowania tej młodzieży, którą mamy przed sobą? To wszystko prawda, ale czy ci, którzy mnie spotykają, mają możliwość spotkania czegoś, znalezienia „ja”, które ma coś do powiedzenia w odpowiedzi na to, co się wydarza, czy też nie? I dlatego trzeba, byśmy nie byli tymi, którzy zostali pokonani w pierwszej kolejności.

Nembrini: Wiele wypowiedzi dotyczy zagadnienia jedności. To znaczy że usiłowanie, osobisty ruch jak gdyby wymaga natychmiastowego umieszczenia na boisku, rozegrania w towarzystwie przyjaciół, w towarzystwie kogoś. Pojawia się to osobiste usiłowanie, ale pozostaje ono często indywidualne, nie staje się komunią, nie staje się odnalezioną przyjaźnią. Przeżywa się nostalgię za jednością, którą odczuwa się jako konieczną, a zarazem niemożliwą do przeżywania, być może właśnie z tymi przyjaciółmi, z tymi z Ruchu, którzy znajdują się wraz z tobą w tej samej sytuacji, w tej samej szkole, w tym samym mieście. W jaki sposób poruszenie osoby rodzi jedność – pyta wielu – na przykład w tej samej szkole, pośród ludzi, którzy przynależą do Ruchu i się nie zauważają? Co znaczy martwić się – wspominałeś nam o tym także w październiku – o Kościół, martwić się w sposób idealistyczny o to, by uczynić Kościół obecnym tam, gdzie jesteśmy? Co sprzyja wyrażaniu Kościoła, co wyraża go publicznie?

W niektórych miastach, na przykład, niektórzy z nas znów zaczęli robić Szkołę Wspólnoty razem i to stało się ważnym punktem wyjścia. Ale potem jak

gdyby to usiłowanie natychmiast się wypaczyło, zmieniło metodę, jak zawsze nam mówisz, to znaczy stało się na nowo organizacyjnym zmartwieniem, jak gdyby problem polegał na wskrzeszeniu CLE [CL Wychowawcy – przyp. red.], powołaniu do istnienia Ruchu, powołaniu do istnienia czegoś, o co człowiek natychmiast się potyka...

Ks. Carrón: Przestańcie! Pozwólcie, by to On zrobił wszystko, On potrafi to robić doskonale! Nam pozostaje odpowiedzieć naszym „ja”. Z tego wszystko się rodzi. Problem polega na tym, czy w tym wszystkim przypadkiem nie myślimy, że „tak”, które mówimy, jest niewystarczające, by wszystko zrodzić, a widać to przede wszystkim w tym, jak pojmujemy tę jedność.

Franco mówi: ta tęsknota za jednością, odczuwana jako konieczna, a zarazem niemożliwa. Tak jest: równie konieczna, co niemożliwa, by została zrodzona przez nas. Dlatego niepotrzebnie się o to martwimy. Jedność – widzieliśmy to, robiąc Szkołę Wspólnoty – jest konsekwencją. Pierwsza jedność, która wydarzyła się w historii, skupiała się wokół Jedynego, Jezusa. To była pierwsza jedność, pierwsza komunია. Jak narodziła się ta pierwsza komunია? Jak się narodziła? Czy uczniowie się umówili? Spróbujcie się z tym utożsamiać: czy się umówili? Zobaczmy, jak my usiłujemy zrodzić tę jedność, i porównajmy to z tym, co zrobili apostołowie: jesteśmy przerażająco śmieszni i nie trzymamy się to wszystko kupy. Dlaczego? Ponieważ jesteśmy przerażająco naiwni, jeśli chodzi o naszą ludzką zdolność. Ksiądz Giussani powtarzał nam to niemal codziennie: wszystkie rewolucje dążyły do tej jedności i nigdy jej nie osiągnęły, ponieważ jest to najbardziej niemożliwa rzecz dla ludzi, równie konieczna i upragniona, co niemożliwa. Widzimy to: nie jest ona możliwa nawet z osobą, którą kochamy, a więc co tu mówić o reszcie.

A więc skąd rodzi się ta jedność? Jak się rodzi? Rodzi się, zrodziła i zawsze będzie się rodzić z naszego utożsamiania się z Czymś Innym od nas. Możemy być razem, możemy zauważać wydarzającą się jedność (nie myśląc, że w ten sposób my ją rodzimy), jeśli znajdziemy Jedynego, który jest w stanie odpowiedzieć na to całe pragnienie serca. Wówczas możemy być razem i się nie pożreć, a nasze roszczenia nie będą mogły przeważać nad całą resztą, gdy będziemy czuć się w porządku, jak w swoim domu, będziemy czuć się swobodnie, tylko za sprawą jednej rzeczy: jeśli znajdziemy tam Jedynego, który jest w stanie wypełnić całe nasze oczekiwanie. Przez to możemy zrodzić odmienną relację między nami, ponieważ jesteśmy tak zadowoleni, tak spełnieni, tak wdzięczni, że On wyszedł nam na spotkanie, spojrzął na naszą nicość, a przede wszystkim dlatego, że On jest. Wówczas przyjmujemy wraz z innymi zupełnie inną postawę. Jeśli

tak nie jest, jeśli doświadczenie nie jest takie, co znaczy tworzyć wspólnotę? Niechybnie stanie się to tylko naszym usiłowaniem zarządzania czymś, dogadywania się. Ale mnie w ogóle nie interesuje dogadywanie się; ponieważ możemy się dogadać i nie mieć Jedyne, który odpowiada. Czy to, co mówię, jest zrozumiałe? Ja chcę wiedzieć, czy jest Ktoś, kto jest w stanie odpowiedzieć na całe oczekiwanie mojego serca i serca innych. Jeśli Go nie ma, kto każe mi to robić? A jeśli jest i ja Go znajdę, i zacznę doświadczając odmiennego sposobu życia, będącego w stanie objąć moje „ja”, pozwalającego mi odczuwać wdzięczność i radość dlatego, że On jest, wówczas, bez projektów, niespodziewanie, czuję się w porządku wobec innych: przede wszystkim wobec żony, potem wobec przyjaciół, kolegów... Nawet jeśli cała reszta się nie układa, ja już przeżywam doświadczenie, dzięki któremu relacja z innymi nie jest pełna przemocy, nie jest roszczeniem, ale jest darmowa. Nie możemy sobie jej dać, musimy ją otrzymać, musimy być gotowi przyjąć Jedyne, który jest w stanie zrodzić jedność. My tymczasem jesteśmy gotowi zorganizować 20 zebrań, ponieważ to my je prowadzimy, ale jesteśmy mniej gotowi dać się wypełnić przez Jedyne, który jest w stanie zrodzić jedność. Jakbyśmy nie rozumieli doniosłości zagadnienia, to znaczy nie rozumiemy, na czym polega problem „ja”, na czym polega problem tej strukturalnej dysproporcji, która nas determinuje, i dlatego tak konieczne jest, byśmy – na tyle, na ile jest to możliwe – udzielili sobie odpowiedzi; całe nieskończone pragnienie pełni odczuwa tak wielką konieczność odpowiedzi, jak często ja sam raz po raz, wraz ze wszystkimi moimi usiłowaniami, uznaję niemożliwość udzielenia samemu sobie odpowiedzi. Dlatego ja sam nie potrafię rozwiązać mojego problemu i potrzebuję nieustannie otwierać się na Kogoś Innego, by odmiennie doświadczać relacji z innymi.

A więc po to robimy Szkołę Wspólnoty, nie po to, by robić ruchowy gest, przyklejony do nicości. Jeśli Szkoła Wspólnoty tym nie jest, to nie zmiana metody odsuwa nas cały czas od robienia rzeczy po swojemu; jeśli Szkoła Wspólnoty jest jakąś dyskusją zamiast podążaniem za czymś, co zostaje zaproponowane, jedność nie jest możliwa. Jeśli nie idziemy za każdym razem na Szkołę Wspólnoty ze świadomością potrzeby, że my nie damy rady odpowiedzieć i że musimy nauczyć się utożsamiać z kimś innym, kto przeszedł drogę przed nami, to po co tam idziemy? By komentować. A więc lepiej zostać w domu. Wiecie dlaczego? Ponieważ powiększamy nihilizm: wysłuchawszy wszystkich komentarzy, wracamy do domu w gorszym stanie, niż byliśmy wcześniej. To jest wzrost nihilizmu, gdy myśli się, że robi się Szkołę Wspólnoty! Szkoła Wspólnoty to nie to! Postawimy decydujący krok naprzód w naszej historii, jeśli usunemy ze Szkoły Wspólnoty komentarze: mówi się tylko o doświadczeniu. Twoje

komentarze nic mnie nie obchodzą, wybaczyć, ale przychodzi mi na myśl również dużo komentarzy... Nie mówię tego tylko ze względu na was, mówię o tym także ze względu na mnie, który mogę dodawać komentarze do komentarzy. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym: czy miałem doświadczenie, które mogłoby coś rozjaśnić? Jesteśmy specjalistami od analizowania ciemności, ale zapalona zapalniczka skuteczniej zwycięża ciemność, rozumiecie? Wszystkie komentarze na temat ciemności nie są w stanie przewyciężyć ciemności tak jak zapalona zapalniczka. Dlatego jeśli ktoś zapali zapalniczkę, która oświetla życie, ponieważ zobaczył, że w ten sposób ciemność zostaje pokonana, wszyscy wracamy do domu podbudowani: ciemność już nie zwycięża i w ten sposób dla tego, kto jest gotowy, rodzi się jedność, i nie wróci do domu z niepłodną samotnością i ostatecznym sceptycyzmem, jak to się często dzieje pośród nas. Dzięki Bogu, nie zostaje nam zaoszczędzone życie! Dzięki Bogu! Ponieważ my tak naprawdę myślimy, że gdy będziemy robić komentarze do komentarzy, życie zostanie nam zaoszczędzone, że nic nie ma konsekwencji. Dobrze, że Pan posługuje się tym piękniestem, które Mu pozostawiamy, wówczas wszystko zaczyna się na nowo, wszystko może zacząć się na nowo.

Nembrini: Wydaje mi się, że w tej kwestii może pomóc nam świadectwo Cinetty z Rzymu. Jednocześnie prosimy Cię o osąd o możliwym kierunku.

Cinetta: 14 października wróciłam do domu pełna entuzjazmu osoby przecuwającej, że staje przed czymś bardzo wielkim, niewiele jednak było trzeba, by wszystko zredukowało się do myśli, do komentarza na temat rzeczywistości i Ruchu. Nie wiem, czy takie stwierdzenie jest właściwe, ale rozumiałam, że całość, która mnie uderzyła, szybko zaczęła pokrywać się z serią rzeczy do zrobienia dla Ruchu, wielu rzeczy i w dobrej wierze. Próbą tego, że były one innej natury niż to, co mnie uderzyło 14 października, było to, że zamiast otwierać mnie na wszystko i pozwalać mi czuć się coraz bardziej wolną, coraz bardziej obwarowywały mnie w „słusznym” sposobie myślenia o Ruchu i rzeczywistości, która jednocześnie rozpraszała się na wszystkie strony.

Potem w grudniu przyjechał do Rzymu Nembrini na assembleę z nauczycielami. Oczekiwałam co najwyżej jednego wyjaśnienia więcej. Tymczasem zobaczyłam kogoś, w kim to, o czym usłyszałam wcześniej także ja, stało się wyzwaniem w obliczu codziennych okoliczności, ponieważ nie było przeżywane jako jakiś skrajnie subiektywny tytanizm, ale w relacji, która go korygowała, pozwalała wzrastać, nie obwarowywała go na stanowisku jedynie słusznym

dla tego, kto robi wszystko dla Chrystusa, ale bez Chrystusa. Dlatego z kilkorgiem przyjaciół chcieliśmy rozpocząć Szkołę Wspólnoty dla nauczycieli. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Zaczęliśmy z bardzo silnym pragnieniem: by cała energia naszego życia została skierowana na zweryfikowanie, czy – jak mówi Szkoła Wspólnoty – ten człowiek, który wzbudził w nas tak wielką nadzieję, jest naprawdę tym, kim twierdzi, że jest. Po raz pierwszy zaryzykowaliśmy, by być przyjaciółmi nie po to, by organizować Ruch, ale by odkryć, czym jest rzeczywistość. Pierwszym rezultatem jest to, że przestaliśmy narzekać na młodzież, iż nie jest taka, jak powinna, na okoliczności, które nie układają się tak, jak powinny. Przyjaciółka, która uczy w mojej szkole i ma bardzo trudną klasę, powiedziała: „Nie przychodzę już po to, by zweryfikować moją zdolność, ale moją wiarę. Kiedy wcześniej otwierałam drzwi do klasy, myślałam: na dzisiaj też pewnie się nie przygotowali. Teraz natomiast otwieram je, zadając sobie pytanie: co ma mi dzisiaj do powiedzenia Tajemnica?”. Albo też inni z nas, odkrywając – robiąc Szkołę Wspólnoty – że nie stanowi ich rezultat, ale to, co przychodzi wcześniej, wymyślają nowy sposób nauczania w klasach, które zostały przekreślone przez wszystkich innych profesorów. Albo też inna moja przyjaciółka, którą jedna z uczennic zapytała: „Po co muszę się uczyć? Co znaczy poznawać?”, zaprosiła tę dziewczynę i całą klasę do robienia Szkoły Wspólnoty. Jest to rzecz w załączku, ale wydaje mi się, że rozbija – tak jak teraz mówię – wszystkie schematy.

I oto pytanie: wydaje mi się, że robienie Szkoły Wspólnoty, przynajmniej jako ogromne pragnienie, oznacza postawienie siebie w obliczu całościowej propozycji. Czy to właśnie czyni nas nowym podmiotem w szkole, czy to może zrodzić pośród nas jedność, która nie będzie bronieniem swojego wyobrażenia o Chrystusie?

Ks. Carrón: Widzicie? Wystarczy, że zacznie się podążać za, a rzeczy zaczynają znajdować właściwe miejsce.

Cały sposób, w jaki stawiamy czoła rzeczywistości (szkoła, rodzina, przyjaciele, cierpienie, okoliczności), odstania sens życia, do którego dotarliśmy. Problem nie polega na tym, że wydarzają się pewne rzeczy albo że stajemy przed jakimiś młodymi ludźmi czy też przed konkretną sytuacją w szkole. Problem polega na tym, w jaki sposób – mówiła o tym teraz Cinetta – przychodzi do szkoły chwilę wcześniej przed postawieniem kroku na pierwszym stopniu schodów: czy determinuje mnie to, co mi się wydarzyło, a wówczas posiadam pierwotną postawę, by wejść w odmienny sposób do szkoły; czy też już jestem zdeterminowany przez wszystkie trudności, przez wszystkie okoliczności, przez

wszystkie przesady albo fakty, które widziałem dzień wcześniej, a wówczas, czego mogę się spodziewać po tamtym miejscu?

Cała analiza może być absolutnie prawdziwa, nie chcę zaprzeczać trudnościom, które są, ale chodzi o to, że gdy tylko pozwala się wejść czemuś odmiennemu, sprawy nadal wyglądają tak jak wcześniej – nie chodzi o to, że zmienia się okoliczność, nie o to, że zmienia się szkoła, nie o to, że zmienia się młodzież, nie o to, że z dnia na dzień wszyscy uczniowie nabiorą chęci do nauki, nie o to chodzi, wszystko zostaje takie samo – ale nowość znajduje się w osobie, w tym, w jaki sposób wchodzi ona do szkoły. Dlatego przy innych okazjach opowiadałem o pewnym epizodzie, który mnie uderzył, o moim uczniu, który – jeden z jego przyjaciół z grupki Szkoły Wspólnoty miał wypadek w szkole – powiedział: „Jak Bóg może robić podobne rzeczy?”. A więc w pierwszej kolejności był bunt. Wtedy mu powiedziałem: problem polega na tym, jak ty stajesz wobec tych faktów. I dałem mu następujący przykład: „Jeśli dzisiaj po południu wrócisz do domu i zastaniesz w nim kogoś, kto wymierzy ci policzek, co zrobisz?”. Jako że był twardą sztuką, powiedział: „Wymierzę mu dwa inne. – A jeśli przyjdiesz do domu i twoja mama wymierzy ci policzek?”. Sparaliżowało go, po czym odparł: „Zapytałbym dlaczego”. Dlaczego? Dlaczego inaczej podchodzisz do policzka wymierzonego przez kogoś nieznanego i policzka od twojej mamy? Policzek materialnie jest taki sam. Nie przyjmujesz go jednak od nieznanego osoby, ale nie możesz powiedzieć tego samego o twojej mamie. Ty wobec twojej mamy nie możesz mieć wątpliwości: przed twoimi oczami staje zbyt wiele faktów, tak że gdy patrzysz na twarz twojej mamy – zważywszy, że policzek nie odpowiada bezpośrednio twojemu doświadczeniu związanemu z twoją mamą – pytasz: dlaczego? Rzecz w tym: kiedy musimy stawić czoła rzeczywistości, czy jest coś tak pewnego, tak trwałego, że nie usuwa więzi z Tajemnicą – tak jak ten policzek nie usuwa więzi tego chłopaka z mamą – więzi z tą Tajemnicą, która nieustannie rozbudza moją pewność i nadzieję życia? Dlatego Cinetta ma rację: w relacji z rzeczywistością weryfikujemy naszą wiarę, pewność wiary. W obliczu bardzo bolesnych okoliczności, które się zdarzają (na przykład tej opisaną przez naszą przyjaciółkę z Werony), czasem pytamy: „Co mogę powiedzieć?”, albo: „Co robić?”. To ty musisz mi powiedzieć, co robić, ponieważ odpowiedź znajduje się tam, gdzie ty pokazujesz, czym jest dla ciebie wiara, czy ty masz coś do powiedzenia tej młodzieży, czy masz coś do powiedzenia tym rodzinom, czy ty masz coś do powiedzenia! Dlatego w obliczu każdego faktu, który się wydarza (szkoły, młodzieży, wypadku, bulimii, wszystkiego), problem polega na tym: co ja mam do powiedzenia? Czy konsystencja, więź z Tym, którego spotkałem, wytrzymuje wobec tego? W przeciwnym razie tworzymy swojego rodzaju wiel-

ki indiański rezerwat, który nie przydaje się do bycia w rzeczywistości. A jeśli wiara nie przydaje mi się do bycia w rzeczywistości, wobec całej rzeczywistości, z całym dramatem, co mnie ona obchodzi?

Jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie przytrafiły mi się w ostatnich tygodniach, były odwiedziny u jednego z naszych zaprzyjaźnionych kapłanów, który wkrótce potem zmarł. Zdumiałem się tą naszą przyjaźnią, że mamy tę pewność w oczach, ponieważ możemy patrzeć w twarz nawet śmierci. Byłem tam jak najbardziej spokojny, było mi niemal przykro, że nie mogę iść razem z nim. „Dlaczego? Dlaczego możemy rzucać wyzwanie nawet śmierci?” – pytałem się, patrząc na niego, gdy leżał w łóżku. Dlaczego? Czy może dlatego, że się umówiliśmy, ponieważ mamy organizację, ponieważ jesteśmy bystrzejsi w analizach? Czy też za sprawą tej pewności, która przychodzi wcześniej niż jakkolwiek przeszkoda, to znaczy dzięki temu, co miałem, zanim zrobiłem krok, by wejść do pokoju mojego przyjaciela, który odchodził w objęcia Chrystusa? Krótko mówiąc, rzecz w tym: jak ja przychodzę na to spotkanie z umierającym przyjacielem, jak przychodzę co rano, by prowadzić lekcje, jak przychodzę co rano na spotkanie z samym sobą, jak się obejmuję? A co determinuje to „wcześniej”, co je określa, co je wypełnia, zagarnia? Czy zagarnia je moja niemoc, czy też zagarnia je obecność Kogoś Innego?

I tutaj my także musimy skonfrontować się z mentalnością wszystkich, to znaczy z mentalnością oświeceniową. Dla wielu z nas to, co nazywamy chrześcijaństwem, jest niczym innym, jak tylko tą oświeceniową mentalnością, dlatego chcemy przekazywać wartości chrześcijańskie bez Chrystusa. Widzimy, jak dochodzimy do końca tej historii przez upadek, który uznają wszyscy. Dlaczego nie dajemy rady? Z powodu tego naiwnego podejścia do ludzkiej natury, z powodu tego zanegowania grzechu pierwotnego jako uznania ostatecznej ułomności, przez ten brak uznania faktu, że możliwe jest tylko to, co możliwym czyni Ktoś Inny. Nie chodzi o to, że Chrystus wybrał się na przechadzkę po ziemi, ponieważ nie miał nic innego do roboty: był całkowicie świadomy tego, że „beze Mnie nic nie możecie uczynić” i dlatego umarł za nas i dla nas zmartwychwstał. Nie odnosi się to tylko do Wielkiego Tygodnia albo do Mszy św., tymczasem gdy wchodzimy do szkoły, potrzebujemy czegoś innego. Potrzebujemy tego zwycięstwa Zmartwychwstania, w przeciwnym razie narzekamy, mając wiele adekwatnych racji, owszem, ale wszystkie te adekwatne racje są niczym wobec zwycięstwa Chrystusa, ponieważ żadna z tych racji nie może usunąć tego zwycięstwa.

Dlatego tylko wtedy, gdy pozwolimy wejść Jego zwycięstwu, nie zależy nam od rezultatu, ale od tego „wcześniej”, od Niego, który przychodzi wcześniej, i wtedy mamy pomysł na życie. Przyjaciele, to jest propozycja, którą składa nam

Szkoła Wspólnoty, przede wszystkim nam, nie innym, ale nam. Każdy może zdecydować, czy potrzebuje tej propozycji, czy nie, wcześniej niż jakiegokolwiek zebrania, wcześniej niż jakiegokolwiek organizacji.

Nembrini: Trzecia kwestia, nad którą chciałbym, byśmy się zastanowili, wydaje mi się najbardziej decydująca, chociażby dlatego, że jest to propozycja zgłoszona przez połowę osób, które przysłały swoje świadectwa. Przedstawię ją w ten sposób: najbardziej nieuporządkowaną kwestią wydaje mi się pozostawiać kwestia obecności, jasności propozycji w środowisku, w którym się pracuje, przede wszystkim składanej swoim uczniom. Wielu z nas ma co do tego wątpliwości: „Dobrze uczę, nieźle sobie radzę, wzbudzam pewne zainteresowanie swoją osobą, swoim przedmiotem, umawiam się także z moją klasą na pizzę, jest relacja. Po czym pojawia się problem propozycji: czy, jak i kiedy zaprosić na GS, zaprosić do Ruchu, zaprosić na Szkołę Wspólnoty?”. Jest to jak trud zrozumienia, kiedy i gdzie mówić o Chrystusie, mówić o tej rzeczy, do której przynależę, dla mnie mającej tak nadzwyczajne znaczenie, ponieważ kiedy patrzę na swoich uczniów albo na moich kolegów, albo na rodziców, których spotykam, pragnę właśnie tego, by żyli tym samym, by patrzyli na to, na co ja patrzę, ale jednocześnie odczuwam to jako coś abstrakcyjnego, sztucznie dostawionego. Wydaje mi się to decydującą kwestią, ponieważ pod spodem, moim zdaniem, kryje się delikatny dualizm, któremu musimy spojrzeć w twarz i pomóc sobie go przezwyciężyć.

Poprosiłbym Caterinę z Pizy, by przedstawiła swoje wystąpienie, w którym problem wyłania się z większą jasnością, w ten sposób pomożemy sobie także w udzieleniu odpowiedzi.

Caterina: Chcemy zadać ci dwa pytania. Dostrzegamy rozdział między naszą pracą w klasie z uczniami a doświadczeniem GS. Zaraz wytłumaczę lepiej, o co mi chodzi. Są uczniowie i rodzice, którzy przejawiają zainteresowanie, darzą nas szacunkiem i dziękują za to, co robimy w klasie. W szkole nie jesteśmy jedynymi, którzy dobrze wykonują swoją pracę. Tego roku spotykaliśmy się wiele razy, by zadać sobie pytanie, jaka jest różnica w porównaniu z innymi. Przypomniałeś nam, że w pierwszej kolejności chcemy być ludźmi, którzy przede wszystkim zawsze udają się do szkoły z najwyższą idealistyczną troską: o Chrystusa i Kościół. Jak uszczegóławia się ta idealistyczna troska w nas? W nauczaniu matematyki albo łaciny. Rozumiemy, że Chrystus, jedyny, który rzuca nam wyzwanie w prawdzie osób i rzeczy, nie może być niewyartykułowanym dodat-

kiem do lekcji, propozycją oderwaną od tego, co robimy w klasie, troską o to, czy i jak zaprosić na GS; a więc co znaczy skierować do naszych uczniów jasną propozycję? Ponieważ pragniemy, by nasi uczniowie poznali Chrystusa, spotkali tę rzeczywistość, o której nigdy nie wspomina się podczas naszych lekcji. Jak może do tego dojść? Na co musimy patrzeć? Na co musimy zwrócić naszą uwagę, by nie umknęło nam to, co się wydarza? W skrócie mówiąc: jak rodzi się GS?

Drugie pytanie. W Ruchu jest wiele rodzin, których dzieci uczęszczają do szkoły. Rodzice poprosili nas, nauczycieli, byśmy zrobili coś dla ich dzieci, co – wydaje nam się to raczej jakimś upoważnieniem – wywołuje pewne zakłopotanie. Widzimy potem wspólnotę GS z przytłaczającą obecnością dzieci osób z Ruchu. Z jednej strony pojawia się słuszna troska rodziców o chrześcijańskie wychowanie swoich dzieci w doświadczeniu Ruchu; z drugiej strony nasze, nauczycieli, skrępowanie, ponieważ wydaje nam się to wymuszoną dynamiką, która nie jest dynamiką spotkania, tak jak może to być w przypadku naszych uczniów. Prosimy cię o pomoc w osądzeniu tej sprawy, ponieważ czujemy, że ciąży nad nami, w naszych wspólnotach, wyobrażenie, które może przygniatać życie.

Ks. Carrón: Czy czasem zadajemy sobie pytanie, co naprawdę znaczy nauczać? Czym naprawdę jest wiedza? Ponieważ jeśli ktoś mi mówi, że dobrze uczy, a potem ma problem z dodawaniem czegoś, zadaję sobie pytanie, czy dobrze uczy, a nie czy tworzy GS! Ponieważ jeśli tłumaczę coś, nie dając racji całości, nie wyjaśniam dobrze rzeczywistości, ponieważ zrozumienie jakiejś rzeczy polega na zrozumieniu związku z całością (na tyle, na ile się w tym orientuję... poprawcie mnie wy, którzy bardziej niż ja jesteście nauczycielami Izraela). Powiedzcie mi, czy tłumaczenie czegoś nie jest łączeniem tego ze wszystkim! I jeśli ktoś mi mówi, że tłumaczy doskonale, że nawet odnosi sukces, i nie dochodzi do tej relacji ze wszystkim, zadaję sobie pytanie: czy my czasem naprawdę zadajemy sobie pytanie, czym jest wiedza? Ponieważ to samo powiedzieliśmy na Szkole Wspólnoty dotyczącej wiary, to znaczy że możemy zacząć mówić o rzeczywistości jak wszyscy i potem coś dodajemy, Tajemnicę. Nie! Na czym polega problem? Na tym, że kiedy mówimy o rzeczywistości, Tajemnica nie ma z tym nic wspólnego. A jako że nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki patrzę na rzeczywistość, wówczas zaczyna się wyłaniać sztuczny problem: „Kiedy, w którym momencie muszę wprowadzić Tajemnicę?”, albo: „Jak Ją dokleić?”. Rozumiecie? Nieuchronnie ten dualizm nie zostanie przewyciężony, nie będzie mógł zostać przewyciężony, jeśli zastanawiamy się nad tym, kiedy dokleić Tajemnicę albo w jaki sposób to zrobić. Nie, musimy czasem zadać sobie pytanie, czym jest

nauczanie, czym jest zrozumienie czegoś, co znaczy używać rozumu zgodnie z naturą rozumu (uświadomić sobie rzeczywistość, zgodnie ze wszystkimi czynnikami) i co to ma wspólnego z nauczaniem księdza Giussaniego o koncepcji rozumu i z tym, w czym Ojciec Święty nieustannie nas koryguje, prosząc nas o „poszerzanie rozumu”. Ale stwierdzenie podobne stwierdzeniu Papieża bez całej historii z księdzem Giussanim zostałyby przez nas zredukowane do sloganu, z którym nie wiedzielibyśmy, co zrobić. Możemy rozumieć, co to znaczy właśnie za sprawą tej metody, zgodnie z którą ksiądz Giussani zaczął wprowadzać nas wszystkich w rzeczywistość. Ponieważ nauczanie, wychowywanie – zawsze to sobie mówiliśmy – jest wprowadzaniem w całość, w rzeczywistość zgodnie z jej całokształtem. Jeśli mogę wytłumaczyć cokolwiek bez związku z całością, nie wychowuję. Nie chodzi o to, że nie tworzę GS (w tym kontekście mnie to nie interesuje), ale nie wychowuję, a przede wszystkim nie wypełniam dobrze roli nauczyciela. Widzicie, w jaki sposób możemy być nauczycielami takimi jak wszyscy, a potem „dodawać” GS? Ale kogo to zainteresuje? To nigdy nie będzie Ruch. Nigdy! To nigdy nie będzie ksiądz Giussani! Rzucam wam wyzwanie, ktokolwiek tego chce, bądźcie spojrzeli w twarz temu, co on nam powiedział.

A więc rzecz w tym, przyjaciele, czy przemyślimy sprawę naszego nauczania, ale nie w świetle pewnej „duchowości” CL, która nikogo nie obchodzi, nie, ale czy zastanowimy się: co znaczy, że nauczam zgodnie ze sposobem, w jaki ja używam rozumu, i jak wyjaśniam każdy aspekt rzeczywistości w odniesieniu do jej całości? W przeciwnym razie – jak to jest czasem w katolickich szkołach – wyjaśniamy wszystkie przedmioty jak wszyscy, a potem jedni dodają do nich jedną ideologię, a drudzy inną, ale w głębi wszyscy jesteśmy tacy sami. Problem polega na tym, że my często przyjmujemy taką zasadę i wszyscy czujemy się w porządku, nie stając wobec tego, co znaczy wychowywać, co znaczy nauczać, co znaczy rozumieć jakąś rzecz w odniesieniu do całej rzeczywistości.

To jest wyzwanie, jakie przed nami stoi, to jest nasze wyzwanie, ponieważ dopóty my, jako nauczyciele, jako osoby nauczające, właśnie ze względu na wartość naszego nauczania, nie zadajemy sobie tego pytania i nie staramy się na nie odpowiadać, dopóty tak naprawdę wchodzimy do szkoły jako już przegrani – przykro mi z tego powodu – i dlatego potem trzeba dodawać coś innego.

Powiedzcie mi, czy ksiądz Giussani, kiedy wchodził do szkoły, martwił się o coś innego poza tym, by wyjaśnić dogłębnie rzeczywistość! I cały trud, jaki podjął, cała droga, którą przeszedł, wynika stąd, że nie zaoszczędził nam niczego z tej drogi, którą on musiał przejść jako pierwszy, by przedstawić ją krok po kroku, by ułatwić nam drogę do tego, byśmy mogli do końca być lojalni wobec

rozumu, by pokazać nam, jak to posługiwanie się rozumem wprowadza nowość z innego świata, bez konieczności doklejania czegoś. Ksiądz Giussani mówi zaś, że człowiekiem naprawdę religijnym jest ten, kto przeżywa intensywnie rzeczywistość, wszyscy inni powiedzieliby natomiast, że człowiek religijny to ten, kto spełnia więcej religijnych aktów obok rzeczywistości. Nie, ksiądz Giussani rzuca nam wyzwanie dotyczące intensywności życia, a – uwaga! – cała metodologia Ruchu, od pierwszej osoby, która go spotyka, po *Memores Domini*, trzyma się albo upada, jeśli ksiądz Giussani ma rację w tej kwestii. W przeciwnym razie nie można utrzymać propozycji takiej jak nasza, jeśli nie jest prawdziwa, to znaczy jeśli moja relacja z rzeczywistością nie jest taka, jeśli religijność nie jest intensywnym przeżywaniem rzeczywistości. W przeciwnym razie, dlaczego mielibyśmy zadawać sobie cały ten trud? By próbować zaktywizować młodzież poza rzeczywistością? Nie! To nigdy nie będzie Ruch! Dlaczego? Ponieważ cała metodologia musi być całościowa: od zdumienia rzeczywistością po Tajemnicę, wszystko za jednym zamachem – widzimy to na Szkole Wspólnoty: wszystko za jednym zamachem, od pierwszego pragnienia aż po nieskończoność. Nie żeby w pewnym momencie pojawiało się rozdroże i jeden szedł w jedną stronę, a drugi w drugą. Nie, nie, nie! Wszystko, od początkowego momentu aż po nieskończoność. Przypominacie sobie schemat, rysunek, ze Szkoły Wspólnoty? (*Czy można tak żyć?*, s. 75) To jest ksiądz Giussani, to jest propozycja, a my musimy zweryfikować, czy to wytłumaczenie rozumu oraz pragnienia, a przez to wiedzy oraz odpowiedzi wolności, jest prawdziwe czy nie. Wyzwanie rzucone przez księdza Giussaniego dotyczy do tej kwestii: czy to jest prawda, czy też nie? A jeśli nie jest to prawda, powiedzmy to sobie jasno, wtedy dajmy sobie spokój. Ale jeśli jest to prawda, albo przezwyciężymy ten zamaskowany dualizm, albo już jesteśmy przez niego pokonani.

A więc jak rodzi się GS? Rodzi się z osoby, która przeżywa rzeczywistość w sposób tak całościowy, że drugi nabiera ochoty, by w tym uczestniczyć. Chodzi o to, że spotykając osobę – poprzez sposób, w jaki naucza matematyki albo łaciny, poprzez sposób, w jaki ktoś jest wprowadzany w rzeczywistość za pośrednictwem tego szczegółu – doświadcza się takiego całościowego postrzegania, które w każdym, kto ją spotyka, wzbudza pytanie: „Ale kto to jest?”. GS rodzi się tak, jak rodzi się chrześcijaństwo: wobec osoby, wobec świadka, który poprzez sposób, w jaki przeżywa rzeczywistość, wzbudza pytanie. Jeśli prowadząc lekcje, nie udaje nam się wzbudzić w młodzieży pytania, jeśli młodzi ludzie nie dostrzegają nowości w sposobie, w jaki stawiamy czoła nauczanemu przedmiotowi, musimy zdać sobie sprawę z istnienia problemu.

Od kiedy to odkryłem, zacząłem prowadzić lekcje, znajdując w tym przyjemność, czerpiąc z niej przyjemność. Jeśli jest coś, co warto zobaczyć, młodzież to zobaczy; a jeśli nie ma nic do zobaczenia, dlaczego mieliby pragnąć robić coś wspólnie ze mną w weekend? Chodzi o to, czy znajduję się przed kimś i nie chcę tego stracić. Ponieważ – jak mówiliśmy w październiku – wychowywanie jest komunikowaniem siebie, to znaczy sposobu, w jaki każdy z nas odnosi się do rzeczywistości. I widzimy to wszędzie, nawet w relacji między dziećmi a rodzicami. Jak komunikujemy? Poprzez sposób, w jaki odnosimy się do rzeczywistości. Jest to nieuchronne. Jeśli nie uda nam się wzbudzić zainteresowania sposobem, w jaki przeżywamy rzeczywistość w szkole... I nie jest tak przede wszystkim dlatego, że muszę tworzyć GS albo ponieważ muszę tworzyć Ruch. Nie! To, że bym nie udusił się w szkole, to mój problem, nie postępuję w taki sposób, ponieważ „muszę” dawać świadectwo. Nie, nie. Postępuję w ten sposób po to, by żyć, i to jest świadectwem. Dlatego mówiłem, że by tak żyć, muszę pozwolić wejść temu „wcześniej”, ponieważ bez niego za żadne skarby nie wszedłbym do klasy, by poprowadzić lekcję. Ale jeśli to mam, muszę wejść w tę okoliczność w odmienny sposób, pierwotny, niezdeteminowany przez rezultat, przez okoliczności, przez cokolwiek, a wówczas koledzy albo młodzież może się zaciekać, a także zapragnąć współdzielić życie, i dotyczy to zarówno tych, którzy mają rodziców z CL, jak i tych, którzy są dziećmi ateistów, nieważne. Nie możemy odnosić się inaczej do jednych, a inaczej do drugich: problem jest ten sam. Jeśli rodzice z Ruchu nie zaakceptują, że nie są panami swoich dzieci, że muszą dostosować się do metody, zgodnie z którą Tajemnica prowadzi ich dzieci ku przeznaczeniu (którego my nie znamy), jedyne, co możemy zrobić, to zaświadczyć o tym, co nam zostało dane; jeśli tego nie robimy, ostatecznie myślimy, że możemy dać naszym dzieciom wszystko poprzez dyskurs, ale nie poruszamy w nich niczego i nudzimy do tego stopnia, że nie chcą już o tym więcej słuchać.

„Dużo robi ten, kto mało przeszkadza”... Dużo robimy dla naszych dzieci albo dla naszych przyjaciół, gdy nie stawiamy im przeszkód, rozumiecie? Ponieważ każdy człowiek jest tajemnicą, nie jest mechanizmem, na który mogą wpływać, jak gdyby był zredukowany do wcześniejszych czynników; jest tajemnicą. Możemy robić wszystko, co chcemy, i drugi może zdecydować, że pozostawi nas na progu siebie, a my stamtąd nie posuniemy się na przód ani o milimetr: mogą to być dzieci, koledzy czy przyjaciele. To jest godność „ja”. Dlatego jedyną bronią, jedynym sposobem okazywania miłości do przeznaczenia drugiego jest dawanie o tym świadectwa: „Zastanów się, czy jest coś, co cię interesuje z tego, o czym ci mówię? W jaki sposób ci to mówię? Żyjąc, żyjąc wobec ciebie”. W ten sposób nie zostawię drugiego samym, nie przejmując się nim. Nie, nie! Tak

bardzo prawdziwe jest to, że przejmuję się nim, że dalej żyję wobec niego i patrzę na niego tak, jak patrzy Jezus. Każdemu, kogo spotkasz, zanieś to wszystko, co masz w środku, całe spojrzenie pełne czułości, miłości dla tej osoby! Potem czekaj. Co innego możemy zrobić? Drugi jest tajemnicą.

Gorszy nas wolność, ale my przynależymy do Ruchu, którego założyciel mówił: „Przez 50 lat stawiałem wszystko na czystą wolność”. Kto może przez 50 lat stawiać wszystko na czystą wolność? Ten, kto jest tak pewny prawdy, którą nie sie, że nie potrzebuje omijać wolności, odsuwać jej na bok, niczego forsować. Wystarczy umieścić na przodzie całe to piękno, aby ten, kto pragnie żyć, mógł poczuć się sprowokowany. W tej sprawie gramy o wszystko, ponieważ obecnością – mówiąc w skrócie – jest „ja”, które poprzez sposób, w jaki przeżywa rzeczywistość, ono samo jest propozycją, ponieważ nie można przeżywać tego, co mam przed sobą (od matematyki po relacje z kolegami albo z uczniami), zgodnie ze wszystkimi czynnikami rzeczywistości bez odnoszenia się do całości; i tu widać, czy spotkałem Coś, co mi pozwala tak żyć, czy też nie. Cała reszta jest dodanym dualizmem, który z czasem nie wytrzymuje: męczy mnie, a innych nie obchodzi.

Dlatego, przyjaciele, musimy sobie w tym pomagać i towarzyszyć. Pomagamy sobie, demaskując miejsca, w których wprowadzany jest dualizm. Jeśli to nie jest jasne, debatujemy o sztucznych problemach.

Nembrini: Chciałbym, byś pomógł nam za pośrednictwem pytania Martina z Padwy. Być może jest to sprawa, która nie dotyczy wszystkich, ale jest równie doniosła, co odpowiedzialność, której warto stawić razem czoła. Chodzi o GS. Jeśli dobrze zrozumiałem to, co przed chwilą nam powiedziałeś, pomaganie wspólnocie GS w jakimś mieście albo szkole polega na rozszerzaniu się, wykraczaniu poza postawę, którą opisałeś. Dlaczego więc, tak często, występuje odrzucenie, schematyzm, zamknięcie naszych wspólnot, które wręcz przetrzymują trud życia w zorganizowanych strukturach? Są gesty, robi się Szkołę Wspólnoty, podejmuje się gest charytatywny: wszystko jest zagwarantowane, jeśli chodzi o doświadczenie Ruchu, ale jak gdyby prawdziwe życie i rzeczywistość były z drugiej strony. Aż po największą dwuznaczność, sformułowaną w ten sposób przez młodzież GS podczas rozmowy z ich odpowiedzialnymi: „Wiecie co, fajni z was ludzie, może nawet jesteście z *Memores Domini*, jesteście niezwykle wiarygodni, troszczycie się też o to, by zapewnić nam spotkania w Ruchu, Szkołę Wspólnoty, gest charytatywny, ale nie ważcie się wtrącać do naszego sposobu spędzania sobotniego wieczoru”. Wydaje mi się, że w środku

znajduje się dwojakość, dwuznaczność, będąca rezultatem naszego hojnego usiłowania, które zostaje całkowicie skorygowane i osądzone.

Martino: Nasza historia jest prosta, powiedzmy modelowa: Szkoła Wspólnoty, spotkania w grupach, gest charytatywny, chór, nauka, obiady dla nauczycieli zajmujących się GS, a przede wszystkim wielkie towarzyszenie sobie. Chodzi o to, że po tej gorącej jesieni, po tym październikowym spotkaniu i assemlei z Franco w Padwie, coś się poruszyło, choćby tylko pragnienie odnowienia. Różne były próby odpowiedzi na październikową propozycję: Szkoła Wspólnoty, spotkania dla nauczycieli, spotkania z nauczycielami, powrót do DIESSE [Dydaktyka i szkolna innowacja. Centrum kształcenia i dokształcania – przyp. red.]. We wszystkich tych próbach, oczywiście dobrych, wydaje się czegoś brakować, ponieważ wciąż istnieje pokusa, by uporządkować, zreorganizować kategorię nauczycieli. Ale jeśli wydarzyło się coś nowego, wydaje nam się czymś koniecznym zacząć od nowa od sławnego zapytania: „Kim jestem?”. Podczas ostatniego spotkania tych, którzy zajmują się GS, wielu zadało to pytanie: „Ale czym jest dla mnie GS?”. Pytanie brało się z trudności niektórych osób związanych z prowadzeniem GS, w przypadku innych trudność wynikała z żalu za czasem skradzionym swojej pracy kosztem bycia z GS; dla jeszcze innych było ono wątpliwością wyphywającą z tego, że w GS są dzieci ludzi z Ruchu, a nie ich uczniowie. Stąd pytanie: czym więc jest GS? Zauważamy, że wydarza się coś nowego, i dlatego pragniemy pomocy i porównania, nie tylko okazjonalnego, ale ciągłego, z kimś dojralszym.

Ks. Carrón: Wydaje mi się, że to, co powiedziałem wcześniej, już jest próbą odpowiedzi na to pytanie. Ponieważ problem polega na tym – posłużę się tu sformułowaniem, które podoba mi się najbardziej, cytując zgodnie ze zwyczajem Benedykta XVI świętego Augustyna: co porusza człowieka w jego wnętrzu? Co jest w stanie poderwać „ja”? Ponieważ jeśli nie zadamy sobie tego pytania, jeśli nie stanimy wobec tego problemu, myślimy, że rozwiążemy problem, porządkując sprawy, zarządzając sprawami. Możemy być dobrzy w zarządzaniu tym, co istnieje, nawet kiedy nic już nie zostanie, doskonale, ale jeśli na tym polega problem, mnie to nie interesuje. Kończy się tak, jak w przypadku niektórych dzieł katolickich, gdzie tak naprawdę zarządzamy tym, co jest, nawet wtedy, gdy zamykamy kościół, ponieważ nikt już nie przychodzi.

Rzecz w tym, że spotkaliśmy coś, przez co – niezależnie od okoliczności – tam, gdzie ktoś dociera, coś się zaczyna: jesteśmy jak na początku rozprzestrzeniania się chrześcijaństwa. Czy kiedy my przychodzimy do szkoły, czy swoją postawą rozbudzamy coś? I to jest problem – jak mówiłem – bardziej skomplikowany, ponieważ by coś zrodzić, by rozbudzić coś, nie wystarczy zarządzać, nie wystarczy organizować, ponieważ teraz

widzimy, że jest to powszechny problem: dotyczy Kościoła, szkoły, partii, stowarzyszeń, wszystkiego, ponieważ – dzięki Bogu! – już dalej nie dajemy rady. Dlaczego? Ponieważ aż dotąd my także żyliśmy tym, co pozostało z tego rodzaju „ja”, które przetrwało, od- kąd chrześcijaństwo zaczęło mieć wpływ na historię i było w stanie rozbudzić pragnie- nie. Jednym słowem, żyliśmy z beneficjów pewnej tradycji. Teraz, gdy chrześcijaństwo, tradycja, ma coraz mniejszy wpływ, a przeważa cała reszta, stajemy wobec tego paral- żu, tego braku zainteresowania wszystkim, niezdolności zainteresowania się czymkol- wiek, w którym znajdujemy się także my w klasach, w których ludzie przeczekują, nie mając nic innego do roboty.

Wówczas to naprawdę jest dla nas wyzwanie: czy mamy coś do zaferowania w takiej sytuacji, mamy na to jakąś odpowiedź? To jest sprawdzian wiary, jak to było wiele razy w historii. Po najazdach barbarzyńców święty Benedykt musiał zacząć od początku. Dzisiaj, gdy barbarzyńcy wniknęli do środka, musimy zacząć od początku i zobaczyć, czy w tej sytuacji mamy coś do zaferowania, w przeciwnym razie możemy zarządzać tym, co pozostało jeszcze z przeszłości. Widzimy, że pustynia się rozrasta, że za każdym razem zainteresowanie jest mniejsze, że za każdym razem jest mniej „ja”, że ten „efekt Czarnobyla”, o którym mówił ksiądz Giussani, za każdym razem ma coraz większy zasięg. A więc: czy w obliczu tego znalazłem coś przede wszystkim dla mojego życia (które wiele razy znajduje się w takiej samej sytuacji jak życie młodzieży), dla mnie, by zacząć na nowo, i dlatego mogę to zaferować młodzieży? Jeśli tak nie jest, to klęska zbliża się nieuchronnie (co najwyżej możemy ją nieco odsunąć w czasie). Dlatego bardzo ważne jest to, jak my tworzymy GS: gromadzimy „ostatnich Japończyków” czy też jesteśmy w stanie zainteresować osoby, które jeśli nie znajdują doświadczenia, nie znajdują człowieczeństwa, które rzuca wyzwanie także ich historii, pozostają obojętne. Kiedy poszedłem na wizytację do pewnej szkoły, uderzyło mnie to, co mówili mi pra- cujący w niej przyjaciele: codziennie rano muszą dzwonić do rodziców, by przekazali słuchawkę swoim dzieciom, by oni mogli przekonać ich do przyścia do szkoły. Jesteśmy na tym poziomie. I, jak powiedziałem, jest to powszechny problem, dotyczy wszystkich poziomów społecznych. Coraz częściej tak będzie. Jest to przykład na to, że będzie tak coraz częściej. A wtedy albo mamy na to jakąś odpowiedź, albo jeśli zadowolimy się zarządzaniem tym, co jeszcze pozostało, to w pierwszej kolejności my sami jesteśmy już pokonani.

Co w takiej sytuacji znaczy tworzyć GS, jeśli nie umożliwianie młodzieży uczest- niczenia w tym nowym odkryciu? Sprawdzianem tego, jak tworzymy GS, jest to, co powiedział Franco o sobotnich wieczorach: to, że jakiś młody człowiek powie w ten sposób: „Ty dbasz o ruchowe rytuały, ale potem nie ośmielaj się kontrolować tego, jak spędzam sobotnie wieczory”, jest bardzo poważnym osądem, ponieważ oznacza, że on, owszem, uczestniczy w zwyczajnych gestach GS, ale te gesty nie są w stanie pociągnąć „ja”: „Ja uczestniczę w gestach, a potem o całą resztę zatroszczę się sam: nie waż się wtrącać!”. Ale czy potraficie wyobrazić sobie kogoś, kto się zakocha i mówi: „Jestem zakochany, ale o sobotni wieczór zatroszczę się sam”? Czy naprawdę jest to wszech- ogarniające wydarzenie, czy też są to tylko zebrania, które trzeba przeprowadzić? Jeśli

nie patrzymy na początek, również tworzenie GS proponuje ten przegrany schemat, to znaczy nie jesteście w stanie zachwycić „ja” w sposób dotyczący wszystkiego. To jest osąd o nas: jaką ja składam propozycję? A jeśli wy, odpowiedzialni za GS, nie martwiecie się o to, powiedziałbym: lepiej rozwiązać GS i zacząć od nowa, ponieważ jest to całkowita dwuznaczność. Widzicie? Możemy proponować robienie różnych rzeczy, ale jeśli to robienie rzeczy nie jest w stanie naprawdę dotknąć „ja”, tak właśnie się dzieje. A więc pytanie brzmi: jaką składamy propozycję? Jaką propozycją jestem ja? To nie jest osąd o młodzieży.

Również tutaj, tak jak w innych środowiskach naszego życia, jak gdyby w głębi znajdowała się dwuznaczność: czy pokładamy naszą nadzieję w zarządzaniu i przez to zawsze zależy od rezultatu, a kiedy nie ma rezultatu, jesteśmy przygnębieni, czy też pokładamy ją w tym, co spotkaliśmy (tę nadzieję, którą On w nas wzbudził) i dlatego możemy rzucić wszystkim wyzwanie z rozmachem? Tylko w ten sposób zaczynamy dostrzegać, jak działa Pan. Ale najgorsze, co możemy zrobić, to wykorzystać to, co czyni On, to, co On wzbudza, by to uporządkować, by zamknąć to w naszych pudełkach i w ten sposób zdusić. Przykro mi, przyjaciele, ale ciąży na nas wielka odpowiedzialność, jeśli tak postępujemy. Nie chciałbym znaleźć się w waszej skórze. Ponieważ musimy pytać samych siebie, czy chcemy „służyć” temu, co czyni Ktoś Inny, czy też chcemy tym „zarządzać”. I dochodzimy do konkluzji, to jest problem wiary: uznajemy, że działa Ktoś Inny i dlatego prowadzenie GS nie jest zarządzaniem GS, ale posłuszeństwem temu, co czyni Ktoś Inny, jest podążaniem za tym, co czyni Ktoś Inny. A może wykorzystujemy to, co czyni Ktoś Inny, by robić rzeczy po swojemu? Uwaga, ponieważ wiele razy to, co wydarza się pośród nas, jest naszym problemem – naszym, osób dorosłych – który nierozwiązany na osobistym poziomie, wywołuje pustkę, którą chcemy zapełnić, zarządzając innymi. Niech każdy sam weźmie za to odpowiedzialność przed Bogiem. Ponieważ pustkę, którą często odczuwamy jako dorośli, chcemy zapełnić, zarządzając młodzieżą. To nie jest słuszne. To nie jest słuszne! Nie chciałbym ponosić za to odpowiedzialności. Ponieważ wiele rzeczy to nie problemy młodzieży, ale nasze, które – po tym, jak nie udało nam się ich rozwiązać w naszej relacji z Tajemnicą – myślimy, że rozwiążemy je, będąc szefem albo kierownikiem. Mówię otwarcie: jest to niepotrzebne, ponieważ nie służy to wam do rozwiązania problemu. Nawet jeśli uda wam się zarządzać, nie usunie to waszego zakłopotania, dalej będziecie czuć się nieswojo. Czy jest to zrozumiałe? To niczego nie rozwiąże, ponieważ kropla nie jest w stanie wypełnić szklanki, i będziemy czuć się coraz bardziej nieswojo. Dlatego jest to nowy początek. Albo zaczniemy podlegać temu, co czyni Ktoś Inny, ponieważ uznajemy, że On działa – to jest problem wiary, o której mówimy na Szkole Wspólnoty, to jest problem wiary: czy my tak naprawdę wierzymy, że działa Ktoś Inny, i dlatego musimy podążać za tym, co czyni Ktoś Inny? – albo jesteśmy jak wszyscy, to znaczy wyznaczamy innym miejsce w strukturach. To nie jest słuszne! I jeśli gdzieś się tak dzieje, musicie mi o tym powiedzieć, ponieważ trzeba zlikwidować tę dwuznaczność w naszych wspólnotach, w GS. Muszę to powiedzieć, ponieważ to nie jest prawda, to nie jest słuszne, nie jest słuszne, by płaciła za to młodzież. Czy to jest jasne?

Membrini: Na zakończenie ostatnia kwestia. W wielu miejscach zauważa się i opowiada o próbie obecności w środowisku, również za pośrednictwem narzędzi zrodzonych przez naszą historię. Wiele osób odzyskało zainteresowanie swoim zawodem, chociażby angażując się wraz z innymi w propozycje, projekty, inicjatywy. Na przykład Stowarzyszenie DIESSE rozrasta się, otwiera nowe siedziby, coś zaczyna się dziać tam, gdzie być może wcześniej nigdy nic się nie działo, zaczyna się praca pośród przyjaciół i kolegów, często w szkołach. Ale również tutaj świadectwa i opowiadania kończą się ostateczną wątpliwością, zawsze znakiem – tak myślę – tego dualizmu, który tego ranka pomogłeś nam tak wyraźnie uchwycić. Ludzie pytają mnie: „Wykonuję dobrą robotę z przyjaciółmi, z DIESSE, to tu, to tam...”, ale potem osoba jak gdyby znajdowała się na środku jeziora. Po wykonaniu pracy, zgłębieniu zagadnienia albo podjęciu inicjatywy z myślą o nauczonym przedmiocie, zawodzie, powstaje pytanie: „Ale co to ma wspólnego z wiarą? Co ma wspólnego z poszukiwaną i upragnioną relacją, naprawdę intensywnie upragnioną, z Tajemnicą?”, kiedy nierobienie tych rzeczy jest wręcz odczuwane w opozycji do prawdziwej religijności.

Ks. Carrón: Jest to problem, któremu stawiałem już czoła przy innych okazjach. Dla nas wiele razy spotkanie jest punktem dojścia, a nie punktem wyjścia. To znaczy jeśli to, co spotkałem, to, co wypełnia moje oczy, mój umysł, moją miłość, moje serce, moją wolność, nie pozwala mi wejść do końca w to wszystko, czego muszę się uczyć, nauczać, chcieć, wówczas pozostaje na zewnątrz, nie oświetla całej rzeczywistości. A my, pod tym względem, jesteśmy leniwi. Co znaczy być leniwym? Przedwczoraj podczas pogawędki nasz przyjaciel Cominelli powiedział: wiele razy jest tak, jak gdyby ktoś powiedział: „Przeczytałem *Ryzyko wychowawcze*”, i wciąż robił powtórki z *Ryzyka wychowawczego*. Oczywiście wspaniale, owszem, ale *Ryzyko wychowawcze* nie może być punktem dojścia, musi być punktem wyjścia, z którym wchodzę we wszystkie nauczane przeze mnie przedmioty. Nie robi tego *Ryzyko wychowawcze*, nie robi tego ksiądz Giussani, ale musi zrobić to każdy, każdy musi wejść w przedmioty z całą swoją lojalnością, bez odrywania czegokolwiek, bez przyklejania czegoś, bez uprawiania ideologii, od wewnątrz, by zweryfikować każde słowo *Ryzyka wychowawczego*. I to musi zrobić każdy, a to są narzędzia. Ponieważ, jak mówiłem ostatnim razem, jeśli nie dojdziemy aż do dydaktyki, jesteśmy dualistami. A więc nie wystarczy robić powtórki z *Ryzyka wychowawczego*; ono jest wiatykiem na drogę, to znaczy jest hipotezą, by wejść we wszystko, nie jest po to, by mnie we wszystkim zastąpić; w przeciwnym razie postępuję jak wszyscy nauczyciele, a potem mówię coś na temat *Ryzyka wychowawczego*; to jest dana nam możliwość, by wejść we wszystko, by wszystko rozjaśnić, by rzucić wyzwanie wszelkiej ciemności. Ale to jest nasza praca. Podobnie ja, przy pomocy tego wszystkiego, musiałem przeprowadzić egzegezę, studiując teksty biblijne; ta praca nie została mi zaoszczędzona, co więcej, podsyciała całe pragnienie wejścia w meritum, aż po grecki biernik (musiałem uzasadnić ten grecki biernik, rozumiecie?). To znaczy jeśli

nie dochodzi się aż do tego punktu, wówczas nasza nauka mnie nie interesuje, ponieważ jeśli nie ma nic wspólnego z tym, co mnie interesuje najbardziej, nie dostrzegam związku między biernikiem a tym, co interesuje mnie najbardziej, to znaczy tym, co mam najdroższego. Nie dzieje się tak jednak z powodów sentymentalnych albo tylko uczuciowych, ale z powodu rozumu: ponieważ On jest zwornikiem rzeczywistości, muszę to odkryć i muszę wniknąć w samą głębię. A tego nie robi *Ryzyko wychowawcze*. *Ryzyko wychowawcze* to drzwi wejściowe. I dziękuję Bogu, ponieważ wciąż mamy jeszcze dużo pracy do zrobienia: uczestniczenie w tej fascynującej przygodzie dostrzeżenia, w jaki sposób to wszystko dotyczy wszystkiego, a przez to każe ci interesować się wszystkim. Bo gdybyśmy wraz *Ryzykiem wychowawczym* skończyli już ze wszystkim, zostałyby tylko powtórki, które prędzej czy później się nudzą. Chodzi o to, że to jest to, co mi pozwala otworzyć na oścież drzwi na wszystko, ponieważ interesująca jest tak naprawdę rzeczywistość.

Dlatego mówię: przy pomocy narzędzi, jako że nie możemy robić wszystkiego sami, musimy sobie towarzyszyć. Przedmiotem troski stowarzyszeń musi być pomaganie w tym, skupianie osób, które się tym interesują, sprzyjanie, by żadna inicjatywa nie poszła na marne, ponieważ każdy jest wezwany do tego, by mieć w tym udział: nie zarządzanie tym, co przyjdzie do głowy organizatorowi, ale organizacja w służbie każdemu przejawowi kreatywności, jaką Tajemnica wzbudza w kimkolwiek. To jest pomocniczość, tak mi się wydaje, o której mówimy wiele razy. To znaczy że nic z tego wszystkiego, co Tajemnica porusza pośród nas, nie idzie na marne, a wtedy przygoda staje się fascynująca w nauczanych przedmiotach dla nas, dla sposobu, w jaki nauczamy, dla relacji z kolegami – ponieważ mamy pretekst do rozmowy o przedmiotach, które ich interesują – dla młodzieży. Wszystko nabywa jedności z innego świata. I to jest to, co może nas interesować, ponieważ w przeciwnym razie, kto każe nam to robić? Dlaczego nie wykonujemy innego zawodu? Musimy doświadczać tego, że tutaj znajduje się sposób, który nie pozwala nam „sobie odpuścić”, ponieważ z jednej strony widzimy trudność tego rodzaju pracy, w której jesteśmy zanurzeni, tego zawodu, ale z drugiej dla kogoś, kto chce żyć, to jest to, co nie daje mu wytchnienia. Dlatego musimy zdecydować, czy dla nas cała ta trudność, cała ta sytuacja, czasem skomplikowana i trudna, w której się znajdujemy, jest po prostu przeszkodą, czy też jest wyzwaniem, okazją, którą możemy mieć właśnie ze względu na to „wcześniej” wiary, które pozwala wchodzić we wszystko. I w ten sposób wzrasta wiara, która jest jedyną interesującą nas rzeczą, wzrasta pewność, że jest w historii Obecność, na której możemy oprzeć całą naszą nadzieję.

Dziękuję!

Nembrini: Wielkie dzięki, księżu Juliianie, myślę, że dostarczyłeś nam materiału do refleksji i pracy na cały najbliższy rok. Chciałbym cię prosić o ostatni wysiłek: prosiłbym cię o przekazanie dwóch ogłoszeń, na które zawsze zwracasz nam największą uwagę. Pomóż nam rozejść się z poczuciem misji i jasnego zadania do wykonania. Chodzi o ogłoszenie dotyczące misji, to znaczy tego, co znaczy to, że w tym doświadczeniu za-

wiera się pasja do świata, oraz ogłoszenie na temat Szkoły Wspólnoty jako metody, jako drogi, jako narzędzia.

Ks. Carrón: Misja. Została nam dana łaska, która jest dla wszystkich, i my możemy się przyczyniać, możemy współpracować na rzecz misji Chrystusa w takim stopniu, w jakim odpowiadamy na tę daną nam łaskę. Miała w niej udział Maryja przez swoje „tak” i dlatego każdy z nas także ma w niej udział, mówiąc swoje „tak”, przechodząc jako pierwszy tę drogę, nie po to, by pokazać coś innym, ale żebyśmy to my przeszli ją w pierwszej kolejności. Dlatego dajmy sobie spokój ze wszystkimi naszymi obawami dotyczącymi rezultatów, Ruchu... ja nawet przez minutę nie „martwiłem się” o Ruch, ten problem mnie nie dotyczy. Jeśli chcecie kogoś, kto martwi się o Ruch, poszukajcie kogoś innego. Nie dotyczy mnie problem martwienia się o niesienie Ruchu, ponieważ niesie go Ktoś Inny, Ten, kto go stworzył. Co leży mi na sercu? Mówienie „tak” temu, co Ktoś Inny czyni, i proszenie o to, by być gotowym uznać to, co czyni Ktoś Inny (zarówno Cleuza, jak i Vicky, jak i ten, kto przybył jako ostatni, jak ta dziewczyna z Werony). Mnie interesuje taka postawa, ponieważ wówczas to On działa, a ja jestem wdzięczny za to, że mogę być w miejscu, w którym widzę te rzeczy, ponieważ to jest to, co jest największym udziałem. I my musimy podjąć decyzję w tej kwestii: albo uznamy, że to On działa, a wówczas to wprowadza nowość, nadzieję, by pójść każdego ranka do szkoły, by stawiać czoła trudnościom, ciężarom, sytuacji młodzieży, wszystkiemu, i w ten sposób współpracujemy na rzeczy chwały Chrystusa, albo też liczymy tylko na nasze siły, a wówczas niemożliwe jest to, by się nie zmęczyć. Ale problem pojawia się jeszcze wcześniej, jest to problem metody, to problem tego, w czym pokładamy naszą nadzieję, jaki jest punkt oparcia, ponieważ reszta przychodzi jako coś, co wylewa się z obfitości tego odmiennego człowieczeństwa, oryginalnego w sposobie bycia obecnym w rzeczywistości: nieustannie prowadzi ono misję, nawet jeśli nic nie mówi, poprzez sposób, w jaki na nas patrzy, w jaki przebywa z kolegami, w jaki żyje spokojnie, w jaki nie martwi się o swoją rolę, w jaki nie martwi się o zarządzanie, w jaki jest radosne, radosne, ponieważ On jest i wyzwała od całej reszty. I to może interesować innych w takiej osobie.

Dlatego niesiemy sobie pomoc w postaci Szkoły Wspólnoty. Nie możemy pozwolić, by Szkoła Wspólnoty popadła w nominalizm uczonych od egzegezy: wielu jest uczonych w Piśmie Świętym w Izraelu. Musimy tego uniknąć za wszelką cenę. A wiecie, jaki jest na to sposób? Każdy krok Szkoły Wspólnoty zawiera sprawdzian. Widzimy to teraz. Co jest sprawdzianem wiary, to znaczy czy my doświadczyliśmy rzeczywistości wiary, a nie prowadziliśmy tylko pogawędkę o wierze? Wolność. Jeśli opowiecie mi o całej drodze wiary od A do Z i jeśli nie staniecie się nawet o milimetr bardziej wolni, to o czym mi mówicie? Dlaczego ma ci zależeć, by posuwać się naprzód z rozdziałem o wolności, jeśli z rozdziałem o wierze nic się nie stało? To nie jest rozumne! Ten, kto doświadczył rozpoznania obecnej Obecności, zaczyna zdumiewać się tym, że jest wolny, wolny, to znaczy zadowolony, niezależnie od okoliczności. A więc jeśli pozostaniemy przy tej metodzie, Szkoła Wspólnoty stanie się czymś innym, a wtedy spróbujcie powiedzieć, że was nie interesuje!